

BOLESŁAW LEŚMIAN

---

**Jan Tajemnik**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY POLSKIE

## Jan Tajemnik

Chadzał ongi po ziemi Jan swego nazwiska, Tajemnikiem zwany, bo ludzi unikał, na drzewa się boczył i figury przydrożne omijał. Najchętniej po lasach samotnikował, włóczęgą trudząc duszę i nogi. Duszę miał skrytą, a nogi — bose, że to mu los półzłotka na buty poskąpił.

Ilekróć bosą stopą ziemi zmacał, tylekróć sercem butów dla się zapragnął. Stąpi po ziemi — i zapragnie, zapragnie i znowu stąpi. Tyle jego, co zapragnie, a w pragnieniu był bardzo nauczny. Głodnemu chleb na myśli, a bosemu buty. Noga nieobuta — we śnie szuka buta.

Umiał Jan-Tajemnik takie buty czasami wyśnić po nocy, że nie wiedział nawet, jak je wzuć na nogi, snem dostatnim zaszczycone. Miewał bowiem z łaski snu onego i srebrne, i zgoła złote obuwie, które nad rankiem pierzchało, jak wszelka inna mara, co to z nią człek we śnie poprzestaje.

Pewnego razu wracał Jan-Tajemnik z lasu do wsi.

Noc była na świecie, noc ponad światem, a i dalej poza światami noc była pewność ta sama, a nie inna, bo i po cóż by się miała odmieniać i różnić, kiedy ją jednaka wola Boża z jednakiego wszędy utkała zasępienia.

Księżyc toczył się po obłokach, jakbyć go właśnie srebrnymi szprychami napierzył, żeś ledwo turkotu jego w niebiosach samochcąc nie dosłyszał.

A na ziemi cisza rozmaita: brzozowa — w brzozach, topolowa — w topolach, a płacząca — w wierzbach płaczących. A owa płacząca tak się jakoś ku ziemi chyliła, jakby kto nowym grzebieniem warkocze jej odwieczne rozczesywał. Wszystko zasię niewidzialne — i grzebień nowy, i warkocze odwieczne, i ten, kto rozczesywać raczył...

Jan-Tajemnik, bocząc się na drzewa i spode łba ciszę rozważając, zbliżył się do młyna popod wioską.

Młyn był stary, popsuty i beużyteczny.

Coś w nim skrzypiało po nocy pilnie i pracowicie, niby z nawyku i z nałogu, którego pozbyć się nie chciał.

Światło księżycowe zieleniało na nim, krusząc się po sękach i strzępiąc się po zadrach. Popod młynem — staw i grobla przegniła.

Jan-Tajemnik spojrział na młyn i przystanął, jakby go coś tknęło.

Księżyc, stopy jego bose światłem z mroku wyławiając, położył na lewej talara ku ozdobie, a na prawej — dukata ku pociesze.

Spojrzał Tajemnik na ową ozdobę i na ową pociechę. Jedna mu się w oczach zasrebrzyła, druga zazłociła, a on stał nadal, siłą nieznaną do miejsca przykuty. Przykuło go i nie puszczało.

Stoi i patrzy. To na nogi własne zerknie, to na młyn spojrzenie przerzuci. Oczy mu się, widać, w onej przestrzeni pomiędzy bosymi stopami a popsutym młynem zbłąkały, że ich zowąd nie mógł nijak wybląkać.

Patrzył tak długo, aż się i czegoś dopatrzył. Ni mniej, ni więcej, jeno na kole młyńskim ktoś siedzi i z kolei patrzy tak samo, jakby mu się patrzaniem odwzajemniał. To na młyn zerknie, to na stopy Tajemnika spojrzenie z młyna przerzuci.

Nie to zdziwiło Tajemnika, że ktoś wbrew zwyczajom ludzkim na kole młyńskim siedzi, jeno to, że mu się patrzaniem tak starannie odwzajemnia.

Samotnik

Sen, Strój

Noc

Księżyc

Cisza

Księżyc, Światło

Wzrok

Spotkanie

Nic, jeno patrzy i poziera, i zerka, i ogląda.

Pewno ślepy się urodził i przejrzał niedawno — pomyślał Tajemnik.

A ów, co na kole młyńskim się utrwalił, uśmiecha się i głową kiwa, jak po starej znajomości.

Księżyc mu się na gębie uśmiechniętej wyiskrza, a on owo wyiskrzenie językiem co chwila zlizuje smakowicie, niby jaką omastę, i znowu patrzy. Zniecierpliwił się Tajemnik, bosą stopą o ziem uderzył i zawołał:

— A cóżeś ty za jeden, u kaduka?

— Piórkowski jestem, iż się tak wyrażę! — ozwał się ów z młyna i w oka mgnieniu sfrunąwszy z koła samowicie, zakrzętnął się kędyś w powietrzu i stanął tuż przed Tajemnikiem.

Zmiarkował zaraz Tajemnik, że z diabłem ma sam na sam do czynienia, ale strachu nie doznał.

Piórkowski skłonił się i dłoń na powitanie wyciągnął. Dłoń z pozoru ludzka, lecz nazbyt kosmata.

Namyślił się Tajemnik i po żmudnym namyśle dłoń podaną uściskał, aby diabła bez potrzeby nie urazić. Uściskał i po raz wtóry strachu nie doznał.

— Cóż wy tu we młynie robita, panie Piórkowski? — zapytał po dobremu, aby milczenie przykre słówkiem stosownym przerwać. — Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z diabłem zawsze... Markotno mi jeno, że na wasz widok strachu naleźnego sercem zgoła nie pokosztował, ażem się brakiem onego strachu dwakroć zatroskał, boć to tak, jakby gębie zabrakło splunięcia, gdy się nieszczęsnym trafem pomyjami, zamiast gorzałką, oraczy<sup>1</sup>.

Mówiąc to Tajemnik splunął na stronę, lecz natychmiast bosą stopą plunięcie na ziemi zatarł, aby w ten sposób zatrzeć niemile wrażenie, które mógł na diabła ów uczynek poniekąd wyrzucić.

Piórkowski udał, że splunięcia ani widzi, ani słyszy, choć głośnie było i znaczne. Uśmiechnął się i rzekł:

— Nie wiem, czyli diabeł z człowiekiem zawsze się schodzi, aleć to wiem na pewno, że bosa noga czasem z butami się styka, aby się w nie przyoblec, jak przystoi. Odkąd po świecie samopas dla własnej przyjemności się włóczę, nigdy jeszcze tak bosych nóg, jak te twoje, nie spotkał! Bo, mówiąc między nami, ani one buta, ani but ich nigdy nie obarczył. Siedziałem tu — na kole młyńskim i myślałem właśnie o nich, ile że o niczym innym myśleć jakoś nie chciałem.

— A cóżeście o nich myśleli, panie Piórkowski? — zapytał ciekawie Tajemnik, kciukiem prawej nogi złościąc wprawnie ziemię, zwiłgotniałą od rosy.

— Myślałem, że one butom, a buty by się im przydały.

— To prawda! — westchnął Tajemnik, pocierając stopą o stopę.

— Mam ja dla ciebie na widoku parę butów niezgorszych — rzekł nagle Piórkowski i ściszył głos. Ściszył głos i zbliżył się do Tajemnika. Wydało się Tajemnikowi, że i w nim się głos zawczasu ściszył, choć go jeszcze nie spróbował, jeno trzymał gdzieś w piersi na pogotowiu.

— Jakież to buty? — rzekł wreszcie, przysłuchując się własnemu głosowi. Głos był rzeczywiście ściszony.

— Czerwone! — szepnął Piórkowski i mrugnął lewym okiem.

— Czerwone! — powtórzył Tajemnik i też mrugnął lewym okiem, a jednocześnie uczył, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał, a ogień potrwał jedno mgnienie i zgasł.

— Wyście to ognia skrzesali? — spytał nagle Tajemnik.

— Nie ja — odrzekł Piórkowski.

— A kto? — spytał znowu Tajemnik.

— A o jakim ogniu mowa? — mruknął niechętnie Piórkowski.

Nie umiał Tajemnik opowiedzieć dokładnie, o jakim ogniu mowa. Zaplątał mu się język — i zamilkł. Piórkowski też zamilkł.

Obydwa pomilczeli przez chwilę.

<sup>1</sup>oraczyć się — uraczyć się. [przypis edytorski]

Pierwszy przerwał milczenie Piórkowski.

— No więc jakże? — zapytał. — Pragniesz tych butów?

— Pragnę!

— Całym sercem?

— Całym sercem!

— Całą duszą?

— Całą duszą!

— I całym rozumem swoim?

W tym miejscu Tajemnik zapóźnił się nieco z odpowiedzią i drożąc się, utkwiał tym rozumem w jakowymś namyśle.

— A czy na pewno czerwone? — zapytał wreszcie, badawczo zazierając w ślepie Piórkowskiemu.

— Na pewno! — zawołał Piórkowski.

— Tedy pragnę ich całym rozumem swoim! — odpowiedział Tajemnik. — Powiedzcie mi jeno, gdzie są owe cuda?

— Poczekaj, bratku! — odrzekł, drożąc się z kolei, Piórkowski. — Zanim powiem ci, gdzie są, musisz mi wprzód zapłacić za zdradzenie nikomu niewiadomej tajemnicy.

— Czymże ja wam zapłacę, panie Piórkowski? — zakłopotał się Tajemnik. — Nic nie mam ani przy duszy, ani przy ciele!

— Mieć — masz, jeno, widać, skąpisz — zauważył Piórkowski i serdecznym palcem wskazał talara na lewej, a dukata na prawej nodze Tajemnika. Leżały tam bowiem dotąd tak, jak je księżyc był położył.

Uśmiechnął się Tajemnik i rzekł:

— Bierzta ów dobytek, jeśli wam się widzi, ale go zagarnijta własnoręcznie, bo ja bym tam tego zgarnąć nie potrafił.

Przycupnął Piórkowski do ziemi, a Tajemnik ze zdziwienia głębę na oścież rozwarł, widząc jak diabeł kosmatą dłonią zdjął talara z lewej, a dukata z prawej nogi, obejrzał je pilnie, zważył na dłoni, zadzwonił nimi w powietrzu i wsunął do kieszeni.

— Dobre? — spytał Tajemnik, z podziwu wybrnąć jeszcze nie mogąc.

— Dobre! — odrzekł Piórkowski z zadowoleniem. — Bywa tak czasem, że gdzie księżyc się zasrebrzy, tam się talar uzbiera, a gdzie się zazłoci, tam się dukat uciula. Tak czy owak — targ ubity! Powiem ci teraz, gdzie znajdziesz parę butów czerwonych. Bywałeś w tym borze, co na prawo od rozstaju?

— Bywałem.

— Idźże tam jutro w nocy, bo jutro noc Zmartwychwstania.

Ugryzł się diabeł w język, wymawiając to słowo, a Tajemnik na dźwięk tego wyrazu pomyślał, iż wypada mu wobec diabła znakiem krzyża świętego swoją powłokę doczesną pokrzepić. Wzniósł więc dłoń do góry i zaczął: „W imię Ojca...” — lecz nie chcąc diabła płoszyć i dręczyć bez potrzeby, dłoń wzniesioną zatrzymał w powietrzu ponad czołem.

Piórkowski spođe lba zerknął na dłoń powstrzymaną, co tkwiła jeszcze w powietrzu, jakby zadumana o tym, czy jej po drodze, czy z drogi.

Udał, że nie rozumie tego ruchu, co się tak wielmożnie zapoczątkował, zmarszczył jeno brwi i rzekł pośpiesznie:

— Będę ci ojcował w twej wędrowce po ziemi, tylko opuść dłoń i słuchaj dalej, coć powiem.

Tajemnik dłoń opuścił i słuchał.

— Jutro noc Zmartwychwstania — powtórzył Piórkowski. — W tę noc skarby zakłete wydobywają się z ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyć. Płoną słabym, błękitnym płomykiem, który się to nieci, to gaśnie, wedle swej potrzeby i wedle swego zamysłu.

O samej tedy północy wnijdź do boru z motyką za pasem. Patrz uważnie, który skarb największym ogniem płonie. W tym miejscu kop a kop, aż się dokopiesz zamku, który się Przed wiekami zapadł w podziemia.

U stóp zamku stoją buty czerwone. Są one własnością pana owego zamku, alic pan ów jest dzisiaj jeno upiorem. Nie wolno ci do zamku wniść bez tych butów. Wzuj je co prędzej na nogi, lewy but na prawą nogę, a prawy — na lewą, bo takie jest ich przyrodzenie i taki porządek po śmierci. Co na ziemi — lewe, to pod ziemią — prawe,

Święto, Zmartwychwstanie,  
Skarb

Zabobony

i na odwrót. Obuty w ten sposób idź śmiało do wnętrza zamku, a znajdziesz tam skarby zakłete. Pamiętaj jeno, abys wracając, nie zapomniał butów zzuć i na dawnym miejscu popod zamkiem należycie ustawić: but lewy po prawej stronie, a but prawy — po lewej. Niech ci nawet w głowie myśl taka nie postanie, aby buty, z tamtego świata wydobyte, sobie przywłaszczyć, bo nie przystoi w takich butach po ziemi chodzić. A choć czerwone — nie bądź na nie lasy. Pozwól im się i nadal pod ziemią czerwienić, bo co podziemne — to nie twoje. Aż nazbyt zadość twym bosym nogom uczynisz, udzielając im przygodnego w onych butach schronu na czas pobytu twego w podziemiach. Chciałem ci ojcować w twojej wędrowce, ale w tej chwili właśnie, napatrzywszy się do syta twej gęby, rozmyśliłem się i poniechałem dobroczynnego zamiaru. Zbyt podłego jesteś pochodzenia i zbyt, pomimo przydomku, nieznanego nazwiska, abym miał cię usynowić i ojcowaniem dookoła ciebie się zatrudniać. Sam sobie ojcuj i bywaj zdrów!

Domówiwszy tych wyrazów, wyciągnął Piórkowski z niegodnej badania kieszeni tabakierę złotą, w najlepszym razie — skradzioną, a w najgorszym przez jakiegoś piekielnego złotnika w dniu imienin ofiarowaną mu na pamiątkę.

Uderzył po niej palcem kosmatym tak głośno, jakby odsłonięcie zatajonej we wnętrzu tabaki nie mogło się obyć bez jakiegoś pomnikowego — szalonej pamięci — pioruna, otworzył ją wreszcie i z wielkim znawstwem ujął w dwa palce spory niuch jedwabistego miału. Owym niuchem szczerze wyposażył swój nochał, dosyć pojemny, i kichnął zapamiętale na cztery strony świata, tędy więc na wschód, na zachód, na północ i na południe.

Pokrzepiony kichnięciem, znikł przed oczu stropionego nieco Tajemnika. Znikł tak nagle i tak usilnie, że Bogu ducha winne powietrze, owym zniknięciem wstrząśnięte, drgało jeszcze i dygotało przez chwil kilka, jakby je zimnica opadła. A wdał się w nie — po zniknięciu Piórkowskiego — zapach dymu, siarki tudzież — z pominięciem tabaki — ów zawiew przykry, który się zawsze zdąży uzbierać w miejscu, kędy się diabeł zbytnio zadomowił, a który ponoć w potach diabelskich ma swą przyczynę nikczemną.

Przynagliło go! — pomyślał Tajemnik. — Spieszno mu było do mnie, ale i ode mnie również było spieszno.

Nazajutrz, skoro noc Zmartwychwstania nastąpiła, pobrnął Jan-Tajemnik do lasu, co na prawo od rozstaju, i tam pod lasem północy się cierpliwie doczekał.

O samej północy wniknął do gęstwiny leśnej, macając co chwila motyki, którą miał za pasem.

Dziwno i straszno ujrzeć noc Zmartwychwstania w niebiosach, gdy gwiazdy, ostrzami wbite w ciemnotę, jarzą się tak, że widać poza nimi strumieniące się nieustannie powietrze, którym nikt jeszcze nie oddychał, a którego świeżość i głębię studzienną węższą nozdrza, spragnione powiewów ożywczych.

Dziwniej wszakże i straszniej ujrzeć noc Zmartwychwstania po krzewach leśnych, po jarach i parowach, gdzie i duszno jej, i ciasno, i niewygodnie. Dziwniej i straszniej, bo ma się ją tuż — blisko, tuż — obok na samoścącym dosiężeniu...

Idąc, wyciągnął Jan-Tajemnik przed się swe dłonie grzeszne i dotykał nimi krzewów, jakby chciał zawieruszony w nich mrok tej nocy ugłaskać i oswoić, bo czuł, że gniewna była i o nim zadumana...

A i on miał ją na myśli. Miał na myśli to noc ową, to buty czerwone. To buty czerwone, to skarby zakłete. To znów noc ową... I tak wciąż na przemian.

W końcu zaś zapomniał o wszystkim, prócz butów czerwonych. Rozpanoszyły się one w jego zamysłach ukrytych i tkwią tam jeden obok drugiego, i czerwienią się dobrane, maściste, chodziwe, a tak, zda się, do tańca pochopne, że pokaż im jeno skrzypki, a pewno w miejscu nie ustoją...

Ledwo to pomyślał, a nagle gdzieś na uboczu ukazał się płomyk błękitnawy.

Zrozumiał Tajemnik, że to jeden ze skarbów zaklętych wydobył się spod ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyć. Uprzykrzyła mu się wilgoć podziemna, więc płonie teraz z ochotą i przesypuje się garściami, i przesusza. Płonie dorywczo — z przestankami, bo

mu widać trudno swą zwilgotniałą zawartość rozżarzyć. To zatli się, to zgaśnie na chwilę, aby znów się zatlić.

Doznam strachu czy nie doznam? — pomyślał Tajemnik, lecz strachu i tym razem nie doznał. Takie już było jego przeznaczenie, że mu strach na drodze do złego nie stawał. Poszedł wprost w kierunku owego płomyka, aż tu nagle i drugi płomyk się ukazał, i trzeci, i czwarty.

Cały las zbłękitnił się zjawionymi płomykami, aż zaroilo się w nim od tych migotów zaklętych, bo w całym lesie odbywało się teraz pośpieszne i pracowite przesuszanie się skarbów, że to wszystko, znużone długim leżeniem i przesiąknięte wilgocią, wypełzło tłumnie z nor podziemnych, niby robactwo, stopą Bożą pominięte, a dłoniom ludzkim nie zawsze dostępne. Pomimo wrzenia tej pracy pilnej i w sobie skupionej, nie było w lesie słychać nic, prócz wydechu ziemi parnej i tego piętrzenia się wśród drzew ciemności, która się zmaga z własnym nadmiarem.

Tajemnik oczy wytrzeszczył, aby zbadać, który z tych skarbów największym tli się płomykiem. Patrzy i wnioskuje.

Łatwiej mu patrzeć niżli wnioskować, bo tyleż w lesie płomyków, ile w głowie wniosków. Ale go żadna trudność nie przeraża. Nic, jeno wnioskuje i wnioskuje.

Na pewno by ze zbytnej zadumy skołowaciał albo i kręćka jakiego przy sposobności nabył, gdyby mu sam przypadek z pomocą nie przyszedł.

Tuż nieopodal jego stóp bosych ziemia się zakolysała, jako ta woda w cebrze, i wytrysnął z niej na powierzchnię skarb obfity.

Nie tyle nawet wytrysnął, ile się jakoś ciszką a chyłkiem znikąd wygramolił, jakby mu kto drabinę dla ułatwienia onej podróży użyczył.

Rozgościwszy się na powierzchni ziemnej, zatlił się tak sutym płomykiem, że wszystkie inne wobec tego zmalwały, i jał się przesyptywać tak zapamiętałe, żeś w onym rojeniu się i zgiełku nie mógł rozróżnić talarów od dukatów, choć jedne i drugie migotały rześcicie w świetle błękitnawym.

Ten ci się przesusza, jakby nic innego przez całą wieczność nie robił! — pomyślał Tajemnik, przyglądając się błyskotliwym a niepochwytnym wirowaniom srebra we złocie, a złota we srebrze, a zaś obojga — w błękitnawym rozwidnieniu. — Ślepy by chyba zrozumiał, że w całym lesie ten skarb jest największy!

Taką myślą ulżywszy swej żmudnej dotąd zadumie, Tajemnik bosą nogą naprzód się pokwapił, przycupnął zniemacka i dłoń wyciągnął, aby skarbu dostać, a skarb — smyrę pod ziemię! Nie ma go, jakby nigdy nie było!

Takiś ty ogłędny i do znikania skóry! — pomyślał znowu Tajemnik. — Wolisz ty pod ziemią się wylegiwać niż w ludzkiej kieszeni serdeczną szczyć się gością? Poczekaj no, bratku! Nie chciałeś ty po swej woli przyjść do mnie, przyjdę ja wbrew twojej woli do ciebie!

Ujął Tajemnik oburącz motykę i uderzył nią po ziemi w tym miejscu, gdzie skarb zaklęty przed chwilą swą tajemnicę złocistą oczom jego obnażył.

Ziemia, motyką zraniona, sama się rozstąpiła posłusznie i bezopornie. Coś w niej tylko westchnęło, zapodziało się w sobie, ułożyło się wygodnie i, znieruchomiawszy, zamilkło.

Westchnęło niemal po człowieczemu, a zamilkło zgoła nie po ludzku. I ukazał się w niej, niby w samym środku onego milczenia, otwór głęboki, od spodu światłem, jak pyłem złotym, z lekka tu i ówdzie potrząśnięty.

Przykucnął Tajemnik i zajrzał skwapliwie do otworu, a tam — u samego pobrzeża — drabina wisi, pewno ta sama, po której skarb zaklęty piął się żywcem ku górze, zanim się na powierzchnię ziemi przedostał. Ale drabina krótka, niecałkowita, z trzech jeno stopni złożona, nie tylko do dna otworu nie sięga, lecz kończy się tuż u pobrzeża; ledwo się zaczęła, a już i ku końcowi swemu dobiegła, jakby naumyślnym skrótem chciała wnijść do otchłani utrudnić.

Po takiej drabinie ani wzwyż do nieba, ani w dół do piekła nie zajdziesz! — pomyślał Tajemnik. — Do nieba — za niska, do piekła — za krótka.

Mimo to, nie mając na podorędziu dłuższej drabiny, pogodził się i z tą, która w zjawionym otworze Bóg wie dla jakich potrzeb i dla jakiego użytku tkwiła usłużnie, może nawet własnej krótkości nieświadoma. Bosą nogę do otworu pilnie wściubił i na pierw-

Strach

Skarb

szym stopniu umiejętnie ją utwierdził. Stał na tym stopniu chwilę przelotną, jakby dla wypróbowania, czy drabina brzemię jego należycie podźwignie, i na drugi stopień się osunął, a potem na trzeci. Na trzecim przystanął i, jedną nogę luzem za się postroniwszy, jął bosą piętą macać naokół powietrze, światłem zaproszone, w tej nadziei, iż coś stałego zmaca.

Aż tu nagle poczuł, że się drabina w sobie zмага i krzepi, i jakoś rozkurcza. Spojrzał pod się na drabinę, a drabinie ni stąd, ni zowąd czwarty stopień przybył.

Tajemnik luźną nogę, w powietrzu myszkującą, natychmiast do powrotu przynaglił i do stopnia nowo przybyłego pośpiesznie przywarł.

Ledwo to uczynił, a drabinie już i piąty stopień znikąd przybywa.

Od przybytku głowa nie boli! — pomyślał Tajemnik, na piątym stopniu utrwalając swe brzemię, bosymi nogami czynnie zakończone. — Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszynie wydało. Umie się ukrócić, aby pod ziemią miejsca zbyt wiele bez potrzeby nie zagarniać, ale też i rozrastać się potrafi, gdy po temu konieczność i sposobność się zdarzy.

I rzeczywiście — co prawda, to prawda. Drabina się rozrasta i rozrasta w miarę tego, jak Tajemnik z wyższego stopnia na niższy nogi bose omackiem przemieszcawia.

Rosną na niej te stopnie, jak grzyby po deszczu. Zdawałoby się, że drabina wraz z Tajemnikiem schodzi do ziemi, aby ją wespół z nim nawiedzić.

Schodził Tajemnik tak długo, jak długo drabina się rozrastała, a gdy zatrzymała się w swym rozroście, zatrzymał się i Tajemnik w swym zniżsieniu<sup>2</sup>.

Zatrzymał się i spojrzał w górę — ponad siebie, gdyż dotąd, zajęty podróżą, w górę oczu nie podnosił.

Spojrzał — i gębę rozdziawił od zbytniego wrażenia! Wszystkie górne stopnie znikły z taką samą łatwością, z jaką przed chwilą przybywały.

Pozostał jeno ostatni, na którym Tajemnik trwał jeszcze z gębą rozdziawioną. A i ten znikł bez śladu, gdy na ziemię zeń uskoczył.

Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszynie wydało! — powtórzył w myśli Tajemnik. — Drogę mi ułatwiła<sup>3</sup>, a powrót utrudniła.

Niedługo się jednak frasował tym, co mu się stało. Nagliła go ciekawość i butów czerwonych żądza nieodparta. Obejrzał się naokół, czy gdzie zamku zakłętego albo butów czerwonych nie zaoczy<sup>4</sup>.

Przed nim — murawica<sup>5</sup> niska, która się pewno wraz z zamkiem pod ziemię ongi zapadła. Dotąd się jeszcze zieleni po dawnemu już to z przyzwyczajenia, już to dla tej przyczyny, że nic innego czynić nie potrafi, jak właśnie zielenić się, choćby nawet po ciemku. A i nie bardzo po ciemku, bo to samo światło, które ostatkiem spylonego pobrzasku dozłacało się u pobrzeży otworu, jaskrawi się po niej i żdźbła jej zielone do rozkwitu zagrzewa.

Opodal murawicy — zamek stoi zakłęty, rzęście oświetlony. Z niego to właśnie wysnuwa się światłość nieustanna.

Marmurowe wschody prowadzą do złotych wierzej<sup>6</sup> samotnego zamku. Tuż popod wschodami para butów czerwonych tkwi, jak na czatach. Tkwi i czerwieni się pod ziemią, jakby ta czerwień, wiekując, nabrała mocy niespożytej i koloru niezniszczalnego. Mrugnął Tajemnik lewym okiem i uczył, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał. Przypomniawszy sobie natychmiast, że miał już taką iskrę w oku, gdy mu Piórkowski o tych butach prawił.

Spojrzał ukradkiem na swoje nogi bose i w te pędy do butów się zbliżył.

Pogłaskał je pieszczotliwie, rękawem nieco potarł dla wzmoczenia połysku i gwoli wzucia ustawił tak, aby lewą nogą w but prawy, a prawą w lewy utrafić.

Wówczas ze złością i radością swe nogi bose wprowadził do ich wnętrza, jak na nosiedliny — do przestronnego a wygodnego pomieszkania. Dobrze było tym nogom

Zamek

<sup>2</sup>zniżsienie (daw.) — zejście. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>ułatwiła — może powinno być: ułatwiła. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>zaoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>murawica — trawa; por. murawa. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>wierzeje — drzwi, zazwyczaj potężne; wrota. [przypis edytorski]

w butach! Tak dobrze, że się po nich jakaś słodycz nieznaną rozlała. Uczuły się lekko i skocznie, jakby im do tańca grano.

Nigdy jeszcze Tajemnik nogami swymi tak, jako teraz, nie poruszał. Szły nie tylko chętnie, ale i tanecznie.

Toteż wbiegł po wschodach<sup>7</sup> marmurowych z taką ochotą, jakby płasem porwany. Wszedł do wnętrza zamku — z komnaty do komnaty wędrował ciekawie, a płas, w nogach zatajony, nie ustawał i nie zamierał.

W komnatach światłość i bezludzie.

Popod ścianami — wory dukatami i talarami upchane, a u każdych drzwi, na oścież rozwartych — koń stoi coraz to innej maści.

Ale koń to nieżywy, zastygły w posąg kamienny takiej barwy, jaką była maść jego na ziemi.

Jeden — bułany, drugi — wrony, trzeci — kasztanowaty, czwarty — cisowy, piąty — jabłkowy, szósty — gniady, siódmy — siwy. Kto by tam zliczył owe konie!

Stoją u drzwi, jedną nogę wzniosłszy ku górze, jakby z miejsca ruszyć miały.

Czapaki<sup>8</sup> na nich — malinowe, siodła — złociste z terlicami<sup>9</sup>. Stoją w pogotowiu.

Może i przyjdzie taka chwila, że z miejsca ruszą... Bo na pewno, gdy archaniołowie zatrąbią, aby zmarłych i żywych przed oblicze Boskie na sąd ostateczny powołać, konie owe, zasłyszawszy trąb odgłosy, pomyślą, że bitwę kędyś otrąbiono, i z miejsca wówczas ruszą... Ale kto ich tam w chwili takiej dosiędzie!

Stoją tymczasem bez ruchu, niby na straży. Czapakami okryte, śmiercią w biegu powściągnięte.

Tajemnik przechodził obok nich, połyskując czerwonymi butami w świetle, które napełniało zamek, a które nie wiadomo skąd wynikało. Dukaty i talary iskrzyły się w worach.

Przed chwilą jeszcze na powierzchni ziemi przesypany były garściami, jak żywe, a teraz — zamarły w bezruchu.

Ukryły się do worów, wzrokiem ludzkim spłoszone. Może i nie wiedzą o tym, że je zdradza połysk niespokojny.

— Tuście się zataiły, połyskliwie, zazdrosne! — szepnął Tajemnik, zbliżając się do worów. — Nie zdążyło się jeszcze to robactwo tchórzliwe przesuszyć, a już spod ręki umknęło, aby mi siebie poskąpić! Nauczę ja was szczodrości i hojności!

Po kolei Tajemnik zanurzał dłonie we worach, gruntując je aż do dna. Garściami wsysywał dukaty i talary do kieszeni, do czapki i za pazuchę. Tak się w nie skrzętnie zaopatrzył, że wyglądał jak brzuchaty i zbyt otyły, prócz gęby, która wrodzoną chudość, chcąc nie chcąc, zachowała.

— Czas mi już pono wrócić na ziemię — mruknął po namyśle. — Śpieszno mi do tego, aby się ze sobą samym, jako z osobą bogatą, żyć i porozumieć stosownie, bo już ja nie ten, co dawniej, więc mi nie przystoi po dawnemu siebie traktować. A nie wiem jeszcze, jak mam siebie traktować i jak się dookoła własnej osoby krzątać, bo wszystkiego trza się nauczyć. Czy za pan brat być ze sobą, czy nie za pan brat?

I, popląsując, skierował się ku wyjściu.

Buty go niosły tak lekko, jakby on szedł na swoją rękę, a one — na swoją. On — sam przez się, i one — same przez się. On po swojemu, i one po swojemu. Nie wiedział w końcu Tajemnik, kto kogo nosi i kto za kim idzie. Wygodę miał z tej przyczyny i skoczność, i wypoczynek nieustanny. Nie tylko czuł się obuty, lecz i obsłużony, i obtańczony.

Pośpiesznie zbiegł ze wschodów marmurowych i przystanął u ich podnóża.

Wypadało właśnie zzuć buty i ustawić je popod wschodami — lewy po prawej, a prawy po lewej stronie. Tak mu sam Piórkowski doradzał. A wiedział Tajemnik, że diabeł kusić — kusi, lecz kłamać — nigdy nie kłamie. Jeśli doradzał tak a tak, to znaczy, że tak a tak być powinno.

Spojrzał Tajemnik na buty czerwone i zadumał się śmiertelnie.

Zzuć czy nie zzuć?

Podumał, podumał — i zzuć postanowił. Gdy w nim to postanowienie zapadło, uczuł

Koń, Sąd Ostateczny

Skarb, Pieniądz

Chciwość, Kradzież

Bogactwo, Przemiana

Strój

Diabeł, Kuszenie, Kłamstwo

Konflikt wewnętrzny

Strach

<sup>7</sup>wschody (daw.) — schody. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>czaprak — przykrycie konia kładzione pod siodło. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>terlica — sztywna część siodła. [przypis edytorski]



w sercu żal i smutek luty<sup>10</sup>.

Przysiadł na wschodach i dłoń już wyciągnął, aby zzuć, ale ledwo dłonią butów dotknął, po raz pierwszy w życiu strachu doznał.

Doznał strachu na myśl, że się z tymi butami rozstanie.

Takiż to jest ów strach, któregom dotąd nigdy nie pokosztował? — pomyślał, zasępiając czoła. — Chodzi on mi po kościach, jak ciągota bolesna, rozłąką z butami zasmucona. Chodzi po kościach i pomawia mnie o niewdzięczność względem tych czerwonych dobrodziejów, i pstrzy się w oczach, niby lzy nieproszone... Raczej but bez nogi, niżli noga bez buta, ma na świecie i zastosowanie jakieś, i umiejscowienie, i samowitość... Niech mię Bóg broni od tego, abym miał z własnej i nieprzymuszonej woli nogi moje brakiem onych trafnie dopasowanych przytułków upośledzić i marnotrawić! Otóż nie zmarnotrawię i nie upośledzę!

Tak rzekł i postanowił nóg swoich na dokuczliwą rozłąkę z butami nie narażać.

I nie naraził.

Zaraz mu na sercu ulżyło.

Pobiegł przez murawicę ku otworowi, którędy do podziemi był się przedostał.

Drabina wisiała, jak poprzednio, u samego pobrzeża otworu. Znów ci była skrócona i niecałkowita. Trzy jeno stopnie widniały na niej w świetle, które od spodu resztą złotawej fali doplusnąć zdołało.

Zafrasował się nieco Tajemnik niedostatkiem potrzebnych stopni i bezpowrotnością drogi przebytej.

Z tęsknotą utkwił wzrokiem na pierwszym stopniu. Przeniósł wzrok na drugi i na trzeci, a z trzeciego opuścił na to miejsce, gdzie dawniej czwarty stopień tak się w czas i pożytecznie z niczego uklecić czy też uciosać raczył.

Ledwo to uczynił, a czwarty stopień przybył, majstrując się bez niczyjej pomocy w oczach Tajemnika i utwierdzając się starannie na swym miejscu, jakby mu pilno było na świat przyjąć znikąd i w poprzek drabiny znieruchomieć.

Tajemnik radosnym uśmiechem powitał jego narodziny pożądane i natychmiast wzrok, od tego stopnia oderwany, niżej nieco ze wspomnianą tęsknotą ugruntował.

Piąty stopień przybył bez omieszki<sup>11</sup>.

I w miarę jak Tajemnik wzrok swój z miejsca na miejsce przenosił, przybywały drabinie stopnie jeden za drugim, aż przybyły wszystkie.

Wówczas Tajemnik, ani chwili nie zwlekając, jął się po drabinie wspinać.

Buty czerwone niosły go wzwyż tak lekko i tanecznie, że w oka mgnieniu znalazł się na powierzchni ziemi.

Odetchnął wesoło i zajrzał do otworu.

Ale otworu już nie było, jakby nigdy nie istniał.

Dobrze to takiemu otworowi na świecie! — wywnioskował Tajemnik. — Inni trudzą się i kłopotczą, aby weń wleźć lub zeń wyleźć, a on tkwi sobie w ziemi beczynnym i ani mu w myśli jakiegokolwiek znijsć lub wyjście, bo sam jest jednym i drugim.

Noc Zmartwychwstania nie przeminęła jeszcze.

Tu i ówdzie błękitniały niespokojne płomyki przesuszających się skarbów.

Czasem drzewo samotne zaskrzypiało, pacząc się od wonnej, przejrzałej wilgoci.

Czasem spróchniała gałązka, złamana w najkrótszym kolanku, spadała, nie chcąc, na ziemię i uderzała po drodze o pozostałe sęki i gałęzie, jakby rachując je w przelocie nie mogła podolać tej przygodnej rachubie.

A ciemność snuła się po krzewach, biegła po drogach leśnych, przemykała się bezdrożami i, odbita od ziemi, cwałowała ku górze, niby konno i na skrzydłach, i pławem, i samym zamysłem niepochwytnym...

Czułeś hen — ponad lasem jej piętra puste, w niebiosy wparte, a stojące otworem dla wszelkiej zmory wędrowniej, bezprzytułkiem umęczonej, a nocą Zmartwychwstania zaskoczonyj pomiędzy niebem a ziemią.

Tajemnik pośpiesznie pomknął lasem, na oślep drogę zgadując.

Wzrok, Czary

Podróż, Czary

<sup>10</sup>luty (daw.) — okrutny. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>bez omieszki — nie omieszkając; natychmiast. [przypis edytorski]

Buty czerwone niosły go, ujmując stopom trudu i zbytecznej mitręgi. Czuł się tak, jakby sam siebie wziął na barana, gwoli ułatwienia podróży, lub jakby w jednej osobie był i jeźdźcem, i wierzchowcem.

Biegł, popląsując, a buty co chwila, jakby dla większej zachęty, krzesaly ognia podkówkami, skrząc się w ciemności i żarząc się swą czerwienią wiekuiętą. Odblask purpurowy padał od nich na murawę i chwiał się na niej plamiście. Ten sam odblask ruchliwym swoim szkarłatem oświetlał od spodu twarz biegnącego Tajemnika.

Ktokolwiek by go teraz ujrzał z daleka, pomyślałby na pewno, że nogi jego objęte są pożarem, a twarz polśniona łuną.

Wybiegłszy z lasu, zboczył ze zwykłej drogi, aby ludziom czerwonymi butami w oczy nie zaświecić.

Skierował się ku bezdrożom i pustkowiom.

Stała tam lepianka opuszczona, która już się w połowie rozpadła.

Do jej wnętrza zawiruszył się Tajemnik.

W kącie leżało trochę siana i słomy. Tajemnik na sianie do snu się ułożył, a słomą buty starannie opatulili, aby poblask czerwieni wiekuiętej nie zwabił do wnętrza przypadkowego przechodnia.

Zasnął po raz pierwszy w życiu obuty i dukatami obciążony.

Przespał resztę nocy i cały dzień następny, i wieczór.

I znów noc — druga z kolei — nastąpiła, a on spał, pochrupując.

Byłby i tę noc przespał bez mała, bo go nadmiar szczęścia uznoił i przymusem sennym, niby jakimś opatrunkiem jedwabistym, na sianie znieruchomił, ale o samej północy dusza mu w ciele, jak w tej komorze ciemnej, niepokoić się zaczęła, a serce do piersi zapukało, niby do drzwi, snem właśnie zapartych.

Ocknął się, ale nie chciało mu się powiek, resztą snu oślepych, na jawę rozewrzeć.

Nie chce się i nie chce.

Trwa tedy z powiekami zamkniętymi, aż tu nagle słyszy już to stąpanie czyjeś, już to nie słyszy nawet, jeno czuje i węszy czyjś pobyt we wnętrzu lepianki — pobyt sam przez się — bez żadnego stąpania, bez odgłosu, bez szmeru.

Nie umiałby nawet powiedzieć, czemu wyczuł czyjąś w pobliżu obecność, ale mógłby przysiąc, że ktoś tu nieopodal czy to stoi, czy też trwa, albo raczej tkwi tak, jak drogowoskaz na rozstaju.

Postronił nieco jednej powieki, żeby oku dać szparę dla wyrzenia, i natychmiast owa szpara zappełniła się przygodną cząstką oglądanego przedmiotu.

Rozszerzył Tajemnik szparę, aby całość obejrzeć. Obejrzał całość i dech zataił.

Przed nim na środku lepianki stał upiór barczysty, wąsaty i bosy.

Tajemnik stopy jego bosc zauważył od razu.

Domyślił się, że stoi przed nim właściciel butów czerwonych.

I znowu doznał strachu na myśl, że zbliża się straszliwa chwila rozłąki z butami.

Ale tym razem strach nogi mu zdrętwił, a gardziel zdławił, niby powrółem<sup>12</sup> piekielnym.

W lepiance cisza, jakby nikogo nie było, choć dwóch w niej przebywa, bo każdy z tych dwóch swoją usilną zachowuje ciszę.

I łączą się obydwaj w tej ciszy, i dwoją, każdy po swojemu zaczajony i po swojemu nieruchomy.

Choćby mi przyszło skamienieć, nie poruszę się pierwszy! — pomyślał Tajemnik. — Niech on się pierwszy poruszy, jeśli mu śpieszno do ruchu w ciemności.

W tej chwili właśnie upiór się poruszył.

Jego powłoka przejrzysta, ruchem z lekka wstrząśnięta, wydała ze siebie zapach mogilny, który pośpiesznie nappełnił wnętrze lepianki i dosięgnął, jakby umyślnie skierowaną falą, nozdrzy Tajemnika.

Musiał teraz wdychać to zarażone powietrze, które za każdym westchnieniem coraz bardziej obezwładniało go i przepajało swym jadem.

Bierze mnie w swe trupie posiadanie! — pomyślał resztą sił wylękłych.

Upiór

<sup>12</sup>powrółość — sznur. [przypis edytorski]

Upiór węża pokręcił, brwi przymarszczył, a potem dłonie odbydwie wyciągnął przed siebie, poruszając skwapliwie palcami, jakby chciał coś pochwycić.

Usta jego rozwarły się, zamknęły i znowu rozwarły.

Mówił czy nie mówił?

Nie słyhać było słów żadnych.

Pewno chce, abym ja pierwszy przemówił — pomyślał znowu Tajemnik. — Niech sam to uczyni, jeśli mu śpieszno do rozmowy.

W tej samej chwili głos, podobny do echa potwornego, wydobył się z gardzieli upióra. Tajemnik nie mógł na razie słów od samego głosu odróżnić, bo głos bardziej przykuł jego zdrętwiałą uwagę niżli słowa.

Powoli jął się wsłuchiwać i nawykać do brzmienia tego głosu, aż wreszcie zrozumiał.

— Oddaj buty, oddaj buty! — rzeźił bosa upiór.

Butów nie oddam! — pomyślał stanowczo i uparcie Tajemnik, ale się słówkiem jednym nie ozwał, bo i dech mu sparło, i język mu w gębie skołowaciał, i zgoła nie chciał należeć do rozmowy, chociaż się jego tyczyła i dokoła niego się obracała.

Starał się jeno zgadnąć, co ma czynić i czego się trzymać, aby się do rąk upióra nie dostać.

Zgadywał tak długo, aż zgadł.

Zgadł, że upiór wówczas tylko pochwycić go zdoła, gdy buty czerwone zobaczy.

W przeciwnym razie żadnego prawa doń nie poczuje, noc w lepiance przestoi, a nad rankiem, skoro trzeci kur zapieje, pierzchnie tak samo bosa, jak bosa się zjawił.

Buty były słomą starannie opatulone.

Chciał Tajemnik z pościeli siana garść zaczerpnąć, aby je na wszelki przypadek jeszcze doosłonić, lecz — mimo wysiłku — nie mógł ręką poruszyć.

Ręce miał bezwładne.

Zaduch trupi coraz bardziej zatruwał i przesycał jego ciało, na słomie poległe.

Spojrzał znów na upióra.

Upiór stał po dawnemu i wyciągał dłonie, i szeptał:

— Oddaj buty, oddaj buty!

Nie oddam, bom nie po to je nabył, aby oddawać! — pomyślał Tajemnik. — Możesz tu stać po prośbie aż do trzech kurów i trupim swoim zapachem pod sam nos mi kurzyć bez wychnienia! Wiem, że mię nie tkniesz dopóty, dopóki się naocznie nie przekonasz o obecności na moich nogach skradzionego obuwia. A i to wiem, bratku z tamtego świata, że chętnie byś połowę swej wieczności oddał za to, żeby choć jeden, na ten przykład lewy, but wysunął mi się spod słomy i oczom twoim zalecił się w całym swym przepychu purpurowym.

Zaledwo to pomyślał, a uczuł nagle, że lewa noga zdrętwiała mu do reszty i bezwolnie, całym swym brzemieniem doczesnym osuwa się i ześlizguje z maluczkiej wysokości sienego barłogu na ziemię, jakby właśnie jej nieogłędny właściciel — wbrew zabobonnym obyczajom — lewą nogą chciał wstać z posłania.

— Oddaj buty, oddaj buty! — zawołał głośniejszym głosem upiór i, zda się, baczność swą natężył.

Tajemnik uczynił i zewnętrzny, i wewnętrzny, lecz zarówno bezskuteczny wysiłek, aby nieposłuszną nogę w tej podróży rozpaczliwej powściągnąć i jej zapędy samodzielne pohamować.

Noga odmówiła mu wszelkiego posłuszeństwa.

Bezwładny i bezsilny czekał na to, co się stanie za chwilę.

Wydało mu się, iż właśnie nogi uknuły przeciw niemu spisek niegodny i zdradziecki.

Przerażenie jego wzrosło, gdy rozumiał, że nie nogi własne, jeno buty cudze, dając ujście swym nalogom tanecznym, zakrzętnęły się ciszką na podściółce siennej i — najwidoczniej — zdradzają nieprzepatą chęć skrziesania ognia podkówkami.

Taniec rozpoczął but lewy.

Rozpoczął nieznacznie, niemal niepostrzeżenie, jakby upajając się swym przedwstępnym do zamierzonego tańca zdążaniem.

Za nim w ślad podybał but prawy, wlekąc zawartą w jego wnętrzu a bezwładną i bezradną nogę Tajemnika.

Zachowanie się butów na podściółce siennej nie uszło zagrobowej uwagi czatującego upióra.

Taniec

Pochylił się ku nim pilnie całym widmem swej nieważkiej a barczystej postaci, za-  
błysnął białkami swych spod ciemnej gwiazdy ślepi i wyciągnął chciwie zaczajone dłonie,  
które się czujnie najeżyły ruchliwymi palcami.

Zdołał Tajemnik z trudem głowy nieco wzwyż unieść, aby się własnej kłęsce przyjrzeć.  
Przyglądali się oba z jednakim natężeniem.

A buty coraz wyraźniej szły w tan, nie zważając na to, czy ów tan jest zgodny z ob-  
umarłą wolą i z oplakany stanem nóg, które w nich tkwiły, jako dwa szczury wędrownie  
w nie byle jakiej pułapce.

Szły w tan i już kilka razy w swych słomianych powijkach popisały się próbnym  
a zręcznym podrygiem.

Coraz im przybywało ożywienia i ochoty beztroskiej, aż wreszcie, ześlizgnąwszy się  
całkowicie z posłania na ziemię, otrząsnęły ze siebie słomę natrętą, rozbłysły w ciemno-  
ściach swą purpurą wiekiustą i w sam nos pochylonego upióra skrzesaly ognia podków-  
kami.

W oka mgnieniu upiór ułupił je oburącz i, pociągając wraz z nimi obutego a bezwład-  
nego Tajemnika, wybiegł z lepianki na świat, nocą objęty.

Zanim Tajemnik zdążył zmiarkować, czy ma jeszcze buty na sobie, czy nie ma, upiór  
wraz z nim uniósł się w przestwory, przeciwstawiając się barczyście wiatrom przeciwnym,  
które mu widocznie drogę utrudniały.

Polecieli.

Noc, choć wietrzna, jaśniała pogodą. A nadmiar pogody był tak wielki, że aż zgrozą  
na wysokościach przejmował. Gdziekolwiek okiem rzucisz — tam pogoda, w nieskoń-  
czoność na oślep idąca. Ani w niej namysłu, ani zrozumienia siebie samej, ani żadnego  
w niebiosach opamiętania.

Po prawdzie mówiąc, trudno było i nieporęcznie Tajemnikowi gdziekolwiek okiem  
rzucić, bo wisiał nieborak do góry nogami, mając jedną otchłań pod sobą, a drugą nad  
sobą — i w obydwu onych otchłaniach czuł się zarówno obco i nieswojo.

Wąsaty upiór, ociążałym lotem sunąc się po gościnnych przestworach, dzierzył go  
wciąż za nogi, podeszwami obcisłych butów ku niebiosom strojnie zwrócone.

Wiekiusty szkarłat tych butów jarzył się po nocy i rozpraszał naokół odbłaski, niby  
czerwone a zwiewne ochłapy zbyt kownie panoszącego się płomienia.

Tajemnik poprzez cholewy sute wyczuwał dokładnie kurczowy uścisk łownych i cze-  
pliwych palców obrzmiałego śmiercią upióra.

Wisiał, głową ciężąc ku padolom i znosząc taką niewygodę w niebiosach, jak gdyby  
się w tych obszarach powietrznych z ciasnotą co chwila spotykał, bo ani tu stać, ani polec,  
ani usiąść po ludzku, jeno wisieć, jako ten powróż na kołku, z tą na domiar różnicą, że  
zamiast kołka — upióra ma się nad sobą, dla tym większej hańby i uprzykrzenia.

Tyle mi z tej przestrzenności, co innemu właśnie z szubienicy — pomyślał, smętnie  
zwisając. — Będę tak wisiał dopóty, dopóki mózgowica moja grzeszna, gdy jej doku-  
czy zbyt wisielcze w przestworach stanowisko, krwią się własną w końcu nie zachłyśnie.  
Wprawdzie upiorzysko chciwe dotąd jakoś butów mym nogom nie ujęło, aleć na pew-  
no znajdzie w tej próżni dookolnej i chwilę odpowiednią, i miejsce stosowne, aby mię  
z butów wreszcie raz na zawsze ogolocić i nieobutego z wygod doczesnych na niewygod  
wiekiuste do krainy cieniów zapędzić. Będę się po onej krainie na bosaka wałęsał i u wrót  
raju, prośbując, wystawał!

Tak myślał rozgoryczony Tajemnik, starając się zwisac jak najwygodniej, aby przeciwnym  
przyrodzeniu położeniem duszy i ciała nie uszkodzić, aż tu nagle poczuł, że dukaty  
i talary, korzystając z odwrotnej jego względem siebie postawy, wysuwają się powoli ze  
wszystkich kryjówek, których im gościnnie udzielił.

Chciał tym zdrajcom ucieczkę nagłą dłońmi obiema zawczasu przeciąć, ale dłonie miał  
wciąż bezwładne.

A właśnie pierwszy stojniś złoty, najbardziej widać niecierpliwy, bez szmeru wymknął  
mu się zza pazuchy i, polyskując skupioną w swym szczupłym zaokrągleniu powierzch-  
nią, powędrował kędyś ku padolom. A chciało mu się jeszcze w tym samowolnym odlocie  
przedrzeźniać na oczach Tajemnika gwiazdę spadającą, która niby przypadkiem przezna-  
czone w niebiosach miejsce opuściła.

— Do widzenia! — szepnął Tajemnik ze wzgardliwym i gorzkim uśmiechem.

Przestrzeń

W tej samej chwili czapka, jakby żegnając złotego zbiega, zsunęła się z głowy Tajemnika i spadła w otchłań wraz z ukrytymi w niej dukatami.

W ślad za nią reszta dukatów i talarów wysypała się z kieszeni i zza pazuchy i gromadnie zaroila się w powietrzu, jak pszczoły z dziupli wykurzone.

Tajemnik zubożał nagle w przestworach niebieskich i dawna nędza zaskoczyła go znowu, w miejscu od ziemi wielce odległym.

W miarę jak się pozbywał cennego balastu, upiór coraz wyżej wzbijał się z nim w powietrze.

Lecieli dość długo.

Starał się Tajemnik godziny zgadywać, lecz poniechał wkrótce tej pracy mitrzej i bezowocnej.

Wydawało mu się bowiem, że jakiś zegar popsuty we łbie mu się zagnieździł i nie tyle czas odmierza, ile zastojem i przewłoką życie mu obrzydza.

Dobrnąwszy do jakiegoś, upatrzonego zapewne, miejsca w przestrzeni, upiór skręcił nagle już to na prawo, już to na lewo.

Trudno było zajętemu uciążliwym zwisaniem Tajemnikowi rozróżnić prawy kierunek od lewego w chwili, gdy mu się cały świat do góry nogami odwrócił.

Dość, że upiór skręcił, i dość, że w tym samym czasie Tajemnik, ile zdołał zauważyć, zauważył niezwłocznie jakąś postać, która naprzeciw nim, lecąc, zdążyła.

Gdy ów zaoczny z dala przechodzień napowietrzny zrównał się z nimi, Tajemnik głębie odwróconą ze zdziwienia rozwarł na chwilę, poznając w onym przechodniu samego Piórkowskiego.

Piórkowski nie spojrział nawet na dawnego znajomego, jeno znak dłonią dając, do upiora się zwrócił.

— Zaczekaj no, waść, napowietrzniku zawołany! — krzyknął, dłoń na powitanie wyciągając. — Chcę ci ulżyć brzemienia, które, na opak do rąk twych przytwierdzone, straci głowę pierwej, nim ją rozumu nauczysz!

Przystanął upiór w próżni i wąsem sierdziejście poruszył.

— Sprzedaj mi tego grzesznika, który na darmość i zgoła niezasłużenie odbywa dzięki twym gniewom podróż, przyrodzeniu jego wcale niedostępną. Dam ci za tego wisielca z przypadku zapłatę sowitą i niebywałą.

I, mówiąc to, Piórkowski pieczołowicie i nie bez czci wyciągnął z kieszeni talara i dukata, które to księżyc na stopach Tajemnika był złożył.

Poznał je natychmiast Tajemnik po błysku księżycowym.

A błysk ów olśnił upiora, bo niezwyklego był pochodzenia. Ślepie zaiskrzyły mu się we łbie, jakby kto siarniki, o parcianki zręcznie potarte, do dwóch, ognia chciwych, knotów przytknął niespodzianie.

— Zapłata przednia i godziwa! — zawołał znowu Piórkowski. — Tego oto talara dam ci za ciało, a dukata za duszę wspomnianego urwipolcia.

Kiwnął upiór głową na znak, że targ ubity.

Ściągnął niezwłocznie buty z nóg boleśnie tym uczynkiem dotkniętego Tajemnika i wręczył Piórkowskiemu nabyte w przestworach brzemię.

— Wolę go bez butów niż w butach — zauważył mimochodem Piórkowski. — Bosy winien do rąk się moich dostać tak samo, jak bosy przyszedł na ziemię.

Zanim Tajemnik należycie kości swoje znużone wyprostował, Piórkowski ujął go pod ramię i jednocześnie dał upiorowi talara za ciało, a dukata za duszę.

Pochlebila Tajemnikowi ta postronna zresztą okoliczność, że i kupiony był nie byle jako, i sprzedany niezgorzej.

Upiór, zapłatę otrzymawszy, poleciał dalej, czerwonymi butami zwycięsko potrząsając, i zginął wkrótce w oddalonych nocnych.

Jeno się po nim purpurowy odbłask butów w ciemnościach na odlotnem zapóźnił.

Tajemnikowi, butów nagle pozbawionemu, markotno zrobiło się na duszy, jakby go kto niemilosiernie osierocił lub wraz z butami urodę mu całą odebrał, której zresztą natura dać — nie dała.

Chociaż, ściśle mówiąc, sam te buty ukradł, miał ci takie żalodne wrażenie, jakby mu je właśnie przed chwilą skradziono.

Czas

Kradzież

Wstyd

A chociaż nogi jego nawykły do bosej po ziemi włóczęgi, po raz pierwszy w życiu zaznał dokuczliwego wstydu, który mu ognistym rumieńcem gębę nie tylko osmalił, lecz jakoby spoliczkował na widok tych nóg do cna obnażonych w miejscu tak zewsząd widocznym i otworzystym, a tak poczesnym i wielmożnym, bo i w pobliżu nieba, i nieopodal tej nieskończoności, gdzie wszystko, poczynając od gwiazd, a kończąc na powietrzu, ma pozór odświętny, jakby tam panowała nieustanna Niedziela, wiekuistą beczynnością pilnie zatroskana.

— Co czynisz? — zapytał nagle Piórkowski, przyglądając się zbląkanemu na gębie chłopu rumieńcowi.

— Wstydzę się... — szepnął Tajemnik, nogami bosymi w powietrzu kłopotliwie przebierając.

Piórkowski zrozumiał.

— Nie przystoi chłopu wstydzić się nóg bosych — zauważył surowo. — Tak ci w tym rumieńcu do twarzy, jak ślepemu w okularach! Bo i jakież to niedobór w swej grzesznej gębie owym rumieńcem zalałeś? Bacz, by ci się przed czasem w ogień piekielny nie rozżarzył! Do piekła jeszcze kęs drogi mamy. Zblednij raczej, bo czas nagli, a piekło się zbliża!

I Piórkowski pomknął chyżo, wlekąc za sobą nabytego za księżycową jałmużnę grzesznika.

Trzymał go wciąż pod ramię — na pozór przyjaźnie i poufale.

Czuł się tedy Tajemnik i wygodniej, i czcigodniej niżli w towarzystwie upiora, a i prawidlowiej, i naleźyciej, gdyż ciało jego odzyskało postawę przyrodzoną.

Krew odbiegła mu od głowy, a ręce i nogi pozbyły się drętwoty i bezwładu.

Lecieli wszakże tak szybko, że tchu mu w piersi brakło. Nic mówić nie mógł i nic naokół nie widział, bo w tym locie rozszalałym wszystko się zmąciło w jakąś nierozwikłaną i co chwila znikającą przejrzystość, z której jeno od czasu do czasu wyłaniał się zgiełk światła, natłok cieni i bezoporna ciżba pyłów srebrnych, zapewne z drogi mlecznej wywianych.

Piórkowski też milczał zawzięcie, oddany całkowicie swym lotom.

Śpieszno mu było dotrzeć do celu.

A celu tego nie przewidywał, o butach czerwonych zadumany, Tajemnik.

Niósł go Piórkowski po bezdrożach napowietrznych, po rozstajach niebieskich, po kniejach śródgwiezdnych.

Niósł go tak długo, aż wreszcie zaniósł na sam kraniec świata, gdzie nie ma wokół nic, prócz chyba tego właśnie krańca...

Na onym krańcu postawił go, wielce zdrożonego, zajrzał mu w oczy, mgłą umęczenia, niby bielmem śmiertelnym, pociągnięte, i rzekł:

— Skrzep się w sobie, bo za chwilę do piekła cię wtrącę!

Poruszył Tajemnik we łbie ociężałymi białkami i gęby nieco rozwarł.

— Nie wtrącisz — odrzekł stanowczo. — Nie wtrącisz, bom nie twój!

— Mój jesteś, bom cię kupiłem! — zaprzeczył Piórkowski.

— Kupiłem mię za mego własnego talara i za mego własnego dukata, które mi księżyc ku ozdobie i ku pociesze na bosych stopach złożył.

— Podarowałeś mi te klejnoty przygodne, a teraz ponieważ chcesz darowiznę cofnąć? Mój jesteś i basta! Przygotuj się, bo zaraz z tego krańca świata zepchnę cię do pobliskich czeluści piekielnych!

— Nie zepchniesz! — odpowiedział znowu Tajemnik. — Obiecałeś mi przecież ojcować, a chcesz się po macoszemu ze mną obejść?

— Zapomniałeś chyba, że się onego ojcowania co prędej wyrzekłem — odparł diabeł głosem zniecierpliwionym.

— Wyrzekłeś się — to prawda — szepnął Tajemnik — lecz nie wyrzekłem go się Ten, który mi zawsze po wieczne czasy będzie ojcował.

— Nie będzie! — zaprzeczył diabeł z wielkim ożywieniem i z widocznym niepokojem.

— Będzie! — upierał się Tajemnik i dłoń wznosił ku czołu, aby znak krzyża uczynić.

Przestrzeń

Piekło, Obraz świata

Ale dłoń, którą niegdyś samochcąc zatrzymał w powietrzu, skamieniała teraz bez ruchu naprzeciw czoła tak, że nie mógł zapoczątkowanego znaku krzyża dłonią ową dokończyć.

Wówczas jej było z drogi, teraz — po drodze, jeno sama droga postroniła się, widąc unikając grzesznej dłoni.

Diabeł spojrział na ową dłoń i rzekł z pogardą:

— Zaczekam, aż się zmęczysz i dłoń ową opuścisz, a wówczas zawładnę twym ciałem i duszą.

— Nie opuszczę jej nigdy! — odparł Tajemnik z mocą.

— Opuścisz, gdy ci sił zabraknie i gdy się przekonasz, że Ów, do kogo ją wzniosłeś, nie będzie ci ojcował!

— Będzie! — upierał się Tajemnik.

— Nie będzie! — zaprzeczał diabeł.

— Będzie!

— Nie będzie!

I znowu spojrział diabeł na wzniesioną dłoń Tajemnika, czekając, zali<sup>13</sup> już prędko ją opuści, zniewolony umęczeniem.

Wszakże czekał na próżno.

Minął wiek, minął drugi i trzeci, a Tajemnik dłoń jak trzymał, tak trzyma. Mimo bólu, mimo znużenia nie opuszcza swej dłoni, która znak krzyża jeno zapoczątkować ongi zdołała.

---

<sup>13</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-polskie-jan-tajemnik>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, *Klechdy polskie*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1978

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: [slightly everything@Flickr](mailto:slightlyeverything@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).